Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

No. 51. POZNAŃ, DNIA 19. GRUDNIA. **1842.**

L'Anti Copernic.

Astrométrie nouvelle suivie de plusieurs problèmes par lesquels il est prouvé que le système de Ptolomée et de Copernic sont également faux, ... que la terre est plus grande que tous les corps célestes réunis en masse, qu'elle n'a que le mouvement diurne, qu'elle occupe le centre du système planétaire, etc. Par l'Abbé Matalène. — Paris, 1842.

(Dalszy ciąg.)

Wróćmy się do pana Matalène i przypuśćmy, że mamy owe jego dwie gwiazdy polarne, i że znajduje się owa stała oś, przechodząca przez owe dwa punkta, przez dwa bieguny ziemi i jéj środek; z kądże ten wniosek, iż ziemia w środku téj linii się znajdować musi? P. Matalène mógłby mieć słuszność, gdyby miał i uczynił uwagę, że ta linia w nieskończoność w obie strony idzie, i że w każdéj dwukierunkowéj nieskończoności, skończoność sama przez się jest środkiem, tak, że podobnym sposobem ziemię jako środek nigdy nieskończonéj osi uważaćby można: ale takowe głębokie uważanie nicby panu Matalène do jego przedmiotu nie pomogło, każde bowiem ciało, lub cząstka w nieskończonościach takie samo ma prawo, zatém żadne szczególne prawo dla ziemi, bycia środkiem wszystkości, z tąd nie wynika. Uwaga p. M., że ziemia na około słońca chodzić nie może, gdy w takim razie wychodziéby musiała z dopiero rzeczonéj niebieskiéj osi, co przecież spostrzegać się nie daje, zasługuje więcéj na wzgląd, choć raczéj tylko u astronomów, co daleko nie sięgają. Koło podłużne, elipsa, które ziemia obrotem swym rocznym zakreśla, jest w rzeczy samej bardzo wielkie, kiedy 40,000,000 mil naszych zawiera i trudno rozumieć, jak przy Kopernikowym rocznym ruchu ziemi z jednego i drugiego końca, któréjkolwiek średnicy tegóż koła gwiazdy w témże samém miejscu pokazywać się mogą. Rzecz łatwo sobie wyjaśnimy bez potrzeby zarzucania porządku Kopernikowego, kiedy porównawczo ziemskiemi miarami mierzyć będziemy. I tak przypuszczając tylko, że gwiazdy w bliskości bieguna się znajdujące są niebardziéj od nas oddalone, niżeli najbliższa nas gwiazda, za którą się Syryusza uważa, będziemy mieli oddalenie do nich 8 bilionów, a zatém owa linia osiowa czynić będzie 16 bilionów, średnica zaś rocznego obrotu ziemi na około słońca czyni 40,000000, zatém $\frac{1}{400000}$ téjże linii; przeto będziemy mieli odpowiedni stósunek, kiedy przypuścimy linię prostą dwadzieścia i kilka stóp długą, a grubą tylko jeden punkt czyli $\frac{1}{120}$ część jednego cala, co ledwo widzialny punkt daje: czy obrot jakiego ciałka w środku długości téjże linii od jednego boku do drugiego, a zatém o dłuż $\frac{1}{120}$ cala, może sprawić jakąkolwiek widzialną różnicę położenia w stósunku do końców téj dwudziesto i kilkostopowéj linii? Ale stósunek ten niezmiernie się przez to powiększa, że oddalenie gwiazd zapewne jest w ogóle ogromnie większe od owego oddalenia najbliższéj nas gwiazdy: i tém bardziéj się pokazuje, że obrot roczny ziemi naszéj, nie może sprawiać różnicy w położeniu gwiazd przypolarnych względem siebie, i że różnice te w ten czas tylko pojawiaćby się mogły, gdyby gwiazdy te blisko nas się znajdowały. Pan Matalène do za krótkich przestrzeni sięgnął, kiedy chce, iż przy obrocie rocznym naszéj ziemki tyle różnic na niebie pojawiać się powinno. Z tego samego błędu, jaki powyżéj jest wykazany, wyprowadza p. M. wiele podobnych błędnych dowodów przeciw obrotowi ziemi, jako n. p., że gdyby ziemia na około słońca

chodziła, powinniśmy być w stanie na ziemi, przynajmniéj w niektórych czasach i miejscach, obadwa biegunowe punkta na niebie, bliskością gwiazd polarnych oznaczone, razem módz widzieć, że, gdyby ziemia na około słońca chodziła, gwiazdy, tak zwane stałe, nie mogłyby względem siebie mieć stałego położenia, jakie teraz mają, i tém podobnie. I na te dwa punkta odpowiada powyższe porównanie przestrzeni, do pierwszego jednak i to głównie przybywa, że dla nierówności powierzchni kuli ziemskiéj, człowiek, to pruchno ziemi, choć i na równiku się znajduje, dla przeszkód ziemskich do obudwóch biegunów przejrzyć nie zdoła.

Takimi to bezzasadnémi zarzutami chciał p. Matalène zniszczyć podwaliny nowéj astronomii, a na gruzach wybudować swój system nowy, który tak wymalował: Ziemia w środku, ruchoma tylko na około swéj osi; na okół ziemi zwyczajny tór księżyca; daléj toczy się na okół ziemi słońce, któremu p. Matalène zostawić przecież musiał Merkurego, tego nadwornisia, co się tak pod płaszcz słońca kryje, iż go nawet gołém okiem ani dojrzyć i wierną towarzyszkę Wenerę, która swego Heliosa tak pilnuje, iż chyba tylko rychléj od niego w jutrzence ziemię zlustrować przyjdzie, albo późniéj po jego uśpieniu wszystko już w cichości zostawiając, do łoża się spuści. Daléj za słońcem iść mają w kolei, dotąd zwyczajnéj, Mars, Westa, Juno, Ceres, Pallas, Jowisz, Saturn, Uranus, i co tam się jeszcze znajdzie, z tą różnicą, że jak dotąd służyli i służyły słońcu, tak teraz wyemancypowana ziemia za otaczających ją na okół ministrów i ministerki je przyjęła, zostawiając każdemu wolność mienia sobie również dla swéj wygody, swych drabantów, swych pierścieni i t. d. Ściany całego sklepienia, w którém się ziemia z swém otoczeniem znajduje, obite są na niebieskiém tle, mnóstwem gwiazd z śrebra i złota i przewleczone mlecznym pasem ze samych drobnych brylantów. W tak piękném otoczeniu dosyć na ziemię, kiedy tyle jest jeszcze czynna, że się na okół siebie obraca. Ale nie godzi się baraszkować w przedmiocie tyczącym się tak ważnéj treści; autór przecież niniejszéj rozprawy spodziewa się, że czytelnik następstwo tego nowego porządku świata z tych baraszków poznał, i przystępuje do niektórych jeszcze pojawień.

Pan Matalène roztrząsa, czy może być, iż ziemia utrzymywać ma wszystkie ciała niebieskie na okół siebie; powiada, że równie jak utrzymują, iż słońce przyciąga wszystkie planety, i iż znajdująca się w nich siła dośród- i odśród-pędna, im obroty elliptyczne nadaje, tak on utrzymywać ma prawo, iż ziemia ze wszystkich ciał jest najgrubsza i najcięższa, że ziemia pierwéj stworzona została, niżeli słońce, planety i gwiazdy, że więc zająć musiała główny środek, że ona raczéj do siebie ciągnie, a nie słońce. Dla poparcia ostatniego utrzymywania przytacza, iż gdyby jakie indywiduum znajdować się miało na krańcu atmosfery naszéj, natenczas musiałoby być porwane aż do słońca, gdyby w istocie słońce attrakcyą na ziemię naszą wywierało: trudno czynić podobne proby, ale niechby się p. Matalène wyniósł na owe stanowisko, a możeby się uczuł porwanym do słońca. O nie! rozum i wyrachunek potrafi zanieść człowieka na krańce atmosfery i potrafi okazać, iż pan Matalène spadłby z takiego miejsca na powrót na ziemię, przecież nie z téj przyczyny, iżby słońce go nie przyciągało, tylko z téj, iż w tém oddaleniu ziemia, choć nierównie mniejsza, ale, że bliższa, nie puściłaby syna swego na słońce. Znansze, bo łatwiejsze, dla bliskości ziemi i księżyca, są wyrachunki tyczące się tych dwóch ciał; za dalekobyśmy zaszli, zapuszczając się w szczegóły téj treści, wspomnijmy tylko, iż, gdy księżyc w ellipsie chodzi, w któréj ognisku ziemia się znajduje, i gdy z tego ogniska wychodzące do obwodu promienie odcinają wycinki proporcyonalne czasom, z tego już dostatecznie wynika przez analogią praw i doświadczenia (§. 272. astron. Bohnenbergera) iż ziemia jest środkiem siły dośródpędnéj księżycowéj tak, że choć ciała w bliskości księżyca się znajdujące, przez księżyc są przyciągane, znajdują się przecież punkta, w których ciała ciągnione przez księżyc i ziemię zawieszoneby pozostały, z kąd przechodząc ku ziemi naszéj, na nią przyciągnięte, spaśćby musiały. Że księżyc wielką siłę na ziemię naszą wywiera, dawnemi czasy niby zabobonnie wierzono, teraz zaś zasadnie wiadomą jest rzeczą: wszakżeż tyle ważny przypływ i upływ morza jego siły jest dziełem. Podobna siła attrakcyi istnieje między słońcem a ziemią, słońcem a innémi planetami, temiż planetami a ich księżycami, również nawet, choć dla nas trudniéj, między jednemi planetami a drugiemi, a główne prawo dla siły téj tak naznaczyć można, iż ciała wywierają na siebie zobopólnie siłę przyciągania w stósunku prostym mass, a odwrotnym stósunku kwadratów oddalenia. Wszakżeż i na naszéj ziemi attrakcya ta w wielu względach bardzo wyraźnie się pojawia: przy górach wielkich pion od przedłużonego promienia naszéj ziemi znacznie się oddala, wahadło astronomicznego dokładnego zegaru znacznie się przez metaliczne wagi tegóż zegaru przyciągać daje i dość wielka jest różnica

między biegiem zegaru, kiedy te wagi nad soczewką wachadła, alboli pod nią się znajdują: samych nawet wag, kiedy wedle soczewki wachadła przechodzą, drganie dość wyraźne postrzegać się daje. Postrzeżenia takie wyprowadziły ludzi myślących na ważne w téj mierze badania; tak już John Michell w Londynie, a późniéj Wollaston w Cambridge, urządzali apparaty dla czynienia podobnych doświadczeń. Henry Cavendish czynił takowym apparatem doświadczenia, które razem z ich ważnemi wypadkami w Philosoph. Transact. of the Soc. of London for 1798 (P. 2., p. 469—526.) umieścił. Apparat na tém się zasadzał, iżby oddalić wszelki wpływ zewnętrzny na kule metaliczne, umieszczone na drótach w pokoju szczelnie zamkniętym, opatrzonym tylko otworem dla oka, poruszane za pomocą zewnętrznego mechanizmu; gdy siła przyciągania czyniła tylko 0,00000002 ciężkości kul ołowianych, wielkiéj było potrzeba dokładności w czynieniu doświadczeń. Bliższą wiadomość o ważnych tych doświadczeń wypadkach także w Grena i Gilberta Rocznikach fizyki (t. 2. z. 1.) znaleść można: tu tylko wspomniemy, że doświadczenia te posłużyły do wyjaśnienia siły, jaka ciała niebieskie na około słońca oprowadza i im przez nas postrzegane obroty nadaje. Siły te attrakcyi powszechnéj, czyli tak zwanéj grawitacyi, również jak z tąd wypływające siły dośród- i odśród-pędne, są panu Mat. nieznane zupełnie, owszem na stronie 53. mówi nawet: „nous la nions complètement,“ chociaż tenże sam p. Matal. na stronie 77 powiada znowu: „nous disons que la terre est le plus grand de tous les globes *sans nier* ni affirmer, qu'elle exerce sur eux la force d'attraction ni celle de repulsion.“ Wychodząc zawsze z zasad przeczenia, niszczenia, a nie równoczesnego tworzenia, mógł też tylko był chcieć system słoneczny, według siebie zaprzeczać i niszczyć, a nie zachcieć cośkolwiek budować, kiedy na saméj czystéj negacyi wszystkiego nic się oprzeć nie da, a idee na niczém nie oparte jak niebieskie fosforki pękać muszą.

(Dokończenie nastąpi.)

Wielu historyków naszych nie chciało pojmować rządu Polski za Piastów.

Polska między klęski swoje liczyć powinna, że w każdém położeniu, w każdéj epoce ma i miewała zawsze psowaczy swojéj historyi, nie pisarzy, którzyby w czystości podawali przykłady z wypadków, dla nauczania potomnych, nie wiernych opowiadaczy czynów, nie prawdziwych historyografów swego czasu; ale raczéj stenografów woli i żądz panów, lub dobroczyńców swoich.

Tą myślą pewnie przejęty pan Ję. M., napisał artykuł w Nrze 20 Tygodnika literackiego z r. 1838.: „*Wielu historyków bardzo mylnie pojmuje rząd za panowania Piastów.*“ Z uczuciem niejakiéjś dumy odczytywałem i odczytuję go, widząc, że mąż w rzeczach polskich biegły, jednakowo zemną rozważa historyą naszą i może podobnie osądza jéj pisarzy. Lat temu już cztery, jak nie długi ten, lecz treściwy artykuł, dostał się publiczności, i może niejednego do głębszego rozpoznawania naszéj przeszłości zachęcił: przecież gdy widać, że rodzina wykrzywiaczy nie wygasła; pozwalam sobie przywołać tę materyą.

Boleśnie jest dostrzegać, jak niebaczni, że od czasu, jak ludzie nauczyli się pisać, trudno jest na zawsze ukryć prawdę, chcieli i chcą zacierać ślady różnicy stanu towarzyskiego polskiego, od sąsiednich ludów zachodu i wschodu; różnicy, która naród nasz bynajmniéj nie poniżyła i nieponiża.

Bez zapuszczenia się w badania, więcéj próżności erudycyjnéj pochlebiające, niż rzetelnéj usługujące prawdzie, nie będę dochodził, czy nazwisko szlachty polskiéj pochodzi od wyrazu *schlachten*, lub *Geschlecht*, czy Lech z Czechem przynieśli na plecach worek wzorów herbowych, czy też krzyżowcy, lub naczelnicy niemieckich *Gauow*, takowych przodkom naszym dostarczyli; chcę tylko wierzyć temu, co najdawniejszych pisarzy świadectwa podają, że ziemia polska zamieszkana była przez naród trudniący się rólnictwem, które za sobą własność prowadzi uprawianéj ziemi, i większéj cywilizacyi niż u ludów wędrujących z miejsca na miejsce domyślać się każe. Te to dziedzictwa w miarę liczby i zamożności rodu rozległe, były niejako powiatami, pod jednę w potrzebie zbierającemi się chorągiew, i tylko na wiecach dające i przyjmujące prawa. Że ci właściciele ziemi, szlachtą bardzo późno nazwani, byli jądrem narodu od czasu historyą nie siągnionego, że to, co w nowych wiekach nazwano *Majestas populi*, na ich spoczywało barkach. Z tego wypływa koniecznie, że feudalność średnich wieków przyjąć się w Polsce nie mogła, nie mając pnia, w którymby zaszczepiona być miała.

Nikt pewnie sprzeczać się nie będzie, że u nas w średnich wiekach *miles i nobilis* jedno i to samo

znaczyło; 1) a gdy odrzuci dla nas zmyśloną feudalność, przestanie wierzyć, że szlachta za nadania książęce i królewskie była obowiązana walczyć; bo w naturze rzeczy leży, że musiała walczyć dla własnego ocalenia, dla własnego kraju. Starostwa, (to źródło zepsucia, to koło palczaste w fabryce magnatów) wylęgłe pod powabną zasługi nazwą (paucis bene merentium), były daleko późniejszém zjawiskiem, a nigdy własnością książąt, tylko całego narodu. Sołtystwa zaś nieco wcześniejsze, dopiero wtenczas stały się nasieniem feudalności dla królów, gdy braterskość szlachecka psuć się zaczęła, a oni zapragnęli dziedzictwa kraju trybem zachodnim.

Nie zamyślałem bynajmniéj tutaj wdawać się w rozbiór zasad rządu, bo próżną podjąłbym pracę, aczkolwiek pozostaje do roztrzygnienia, czy Polska dla tego upadła, że razem z drugimi krajami nie stała się absolutną monarchią; czyli téż, że sama pośród monarchii, nie dosyć ściśle, nie dosyć wytrwale strzegła form odwiecznych swoich republikanckich? Chcę tylko, idąc za śladem pana Ję. M., powtórzyć: „*Wielu historyków bardzo mylnie rozumie rząd za panowania Piastów*,“ i dodać, że go pojmować nie chcieli. Nie chwaląc co było, mówię, jak było.

Historycy głównie obrazili prawdę: — przyznając dziedziczność tronu i własność ogólną ziemi polskiéj dla rozdawnictwa — i zawsze obwiniając szlachtę.

Obciążyłbym zbytecznie cytacyami pismo perydyczne, 2) gdybym chciał przywodzić miejsca kroniкarzy podczas Piastów żyjących i piszących; wykryłyby one opuszczenia rozmyślne i widoczne zmyślenia historyków Jagielońskich i późniejszych. Albowiem ani kroniki, ani zbiory praw nie podawały im dowodów, iżby trony rozporządzane były samowolnie, iżby kraj był dzielony, lub prawa stały się obowięzującemi, bez przyzwolenia wybranych z narodu, bez wieców, panów rad, a następnie sejmów. Naostatek, aby książęta mieli być całéj ziemi polskiéj właścicielami; bo Piast kołodziéj, czy Bartnik, nie mógł pewnie za Kruszwicę daleko swego dziedzictwa rozciągać i tyle posiadać, aby milites strenuos, milites famosos wyposażał. Powodu tych fikcyj historycznych, tego wstrętu od wydobywania prawdy, można dojrzeć w cisnących się z zachodu razem z religią wyobrażeniach monarchicznych i feudalnych. Duchowieństwo pragnące rozszerzenia władzy i bogactw, wcześnie dostrzegło większéj łatwości w dążeniu przez królów za władzą nieograniczoną, niż przez braterską szlachty demokracyą. Nie odniosło ono zupełnego tryumfu, ale samo pisząc historye, redagując ustawy, dyplomata i wyroki, pomijało rzetelność dążąc uporczywie do celu życzeń i nie tak pisało, jak rzeczy były, ale jak sobie życzyło, aby się obróciły. Z tąd inaczéj było w archiwach i rękopismach, a inaczéj w kraju. Naród powoływał do rządów, zatwierdzał życzenia władzców i otaczających umierającego możnych; odrzucał je, a często własne przychylenie się odwoływał; historycy jednak i redaktorowie duchowni, koronowali, namaszczali, na tron wsadzali w swoich ramotach, i jakby na żart dodawali tytuł *pares* tym, których naród wybrał.

Nie mało także przyczyniała sił uzurpacya cesarzów niemieckich tytułu panów świata, nie potężniejszych i nie bogatszych jak Karól IV., który za dług 1000 hallerów musiał się osobiście zobowiązać obywatelom miasta Spiry; lub Henryk V., co zwyciężony od Bolesława Krzywoustego, jednak dopominał się hołdu, bo mniemał, że panowanie nad światem nie jest orężem do odparcia. 3) Ten kierunek prowadził do przeciwieństwa opisów z wypadkami: Duces (wodzowie), Principes (naczelnicy), z resztą królowie z biskupami (antistetes) jeździli, godzili się, umawiali, żenili, wydawali

---

1) Chociaż Dittmar (recenzowany przez Wagnera (pag. 97. lib. IV.) mówi: Hic (Mesa) a Boemia regione nobilem sibi uxorem senioris Bolezlai duxerat. — Musiała jednak być różnica między szlachtą przed Kaźmierzem III. gdy statut wislicki p. 37.: De villano, militi aut nobili plagam inferente, tak mówi: — Pro capite vero militi famoso, alias szlachcie, sexaginta Marcae, Scartabello triginta Marcae, militi autem creato de sculteto aut Kmethone 15. Marcae pro capite.

2) Słusznieby może kto sądził, że zarzut historykom robiony, powinien być dowodami poparty; uwidzi to jednak każdy, umiejący się zastanawiać nad poszukiwaniami historycznemi, że artykuł z przeznaczenia swego ulotny, musiałby się zamienić w rozprawę przynajmniéj na jeden tom wystarczającą, gdyby każde twierdzenie, każdy wniosek miał być cytacyami poparty. Nie mogę jednak pominąć, co przedmowa do Zbioru praw Vol. Leg. Tom. I. w sobie zawiera. Tit. Jam speciatim ostenditur Equestri Ordini antiquissimam esse authoritatem eandem, circa Leges et Constitutiones sanciendas. — Oto: — Jam superfluum esset sexcentae Cromero Dlugosso aliisque adducere certissimae rei testimonia, cum a principio Poloniae fere in singulis electionibus Regum, ab anno vero 1140, in aliis quoque maximis Rpblicae negotus conceptis verbis ferme ubique offerunt *Sententia, consensu, Ordinatione, Praelatorum, Baronum, Nobilium, Nobilitatis, Equitum Militam, Virorum Militarium etc. res Rplicae* esse constitutas.

3) Ci Panowie świata mieli także historyków Dittmarów, Kosmasów, Lambertów, duchownych, za wzór duchownym naszym służących.

córki, obowięzywali, wkupowali do bractwa monarchów; a naród szedł swoją drogą, uważając prawa swoje za nienaruszalne i nietroszcząc się, co tam sobie panowie Antistites napisać chcieli. Jeździli do cesarzów, (duces v. principes) ale naród nigdy do nich poselstw nie wyprawiał; żadnéj subdycyi cesarzowi, ani papieżowi nie zrobił. Szydził raczéj z Włochów, gdy Paweł III. (Farnese) księztwom Parmy i Placencyi nadał za pana, własnego syna Pietro Ludovico; a synowi tegóż znowu Octavio, Karol V. z nałożnicy spłodzoną Małgorzatę dawszy za żonę, papiezkie z cesarskiemi połączając bękarty, koroną z bożéj łaski przyozdobiali.

Pozostała dla nas skazówka, że polskość nasza niedaje się nabić jak bót na prawidło zachodnie, i inaczéj historycznie sądzona być winna. Nie można więc brać zupełnie za złe, co nam obcy późniejsi zarzucali i zarzucają, skoro ich nawodzili ksiądz Długosz, ksiądz Kromer, ksiądz Naruszewicz i t. d. Za nimi popędziła duchowna i świecka rzesza naszych historyków, niechętnych w poszukiwaniu prawd historycznych; mnożąc historye, historyjki aż do romansów historycznych. 4)

Królewskość w Polsce w jednostajném zawsze była uważaniu; król był *primus inter pares*, wybierany przez naród, choć go ichmość księża historycy zapisywali *Dei gratia*. Tyle był poważanym, kochanym lub nienawidzonym w X. lub XI. wieku, jak w XVII., lub XVIII. Kiedy królowie téj Rzeczypospolitéj byli prawi, dzielni, umieli cenić prawa narodu i godność swego powołania; kiedy czcili najwyższe miejsce pierwszego obywatela kraju, wtenczas naród uznawał za największy zaszczyt posłuszeństwo, a gorliwość w służbie była zarazem najprawdziwszą miłością ojczyzny. Lecz gdy tron zasiedli tacy, co Rzpltę uważali za podnóżek majestatu, a interes familijny, zupełnie odrębny od dobra publicznego, krwią narodu okupować kusili się, w ten czas niedowierzanie, opór, a nawet użycie siły, stawało się, bo się stać koniecznie musiało naturalnym skutkiem zagruntowanéj miłości swobód. Nie znali Polacy poziomych pochlebstw, nazwie królewskiéj przyczepianych, n. p. Königs-Tabak, Königs-Wurst, Königs-Walzer, Kaiser-Fleisch, Kaiser-Schnitt i t. d., lecz lubili za to długo używać na wezwanie wyrazów: Miłościwy królu nasz!

(Koniec nastąpi.)

4) Nie mogę wyłączyć nawet Tadeusza Czackiego, który jakoby kronikarzy nie czytał lub nie rozumiał w dziele z wielu względów wielkiem o prawach litewskich i polskich w Tomie I. na karcie 277.: „Mimo wszelkie wnioski, nie widzimy od „Mieczysława do Bolesława Krzywoustego, ani zjazdów naro- „dowych z czynną władzą, ani wpływu narodu do obrad publi- „cznych.“ A Ryxa, Kaźmierz, Bolesław wypędzeni z kraju, któryż książe rządził? — Na str. 271.: „Ziemie nasze były „wprzód lennością, potém dziedzictwem wsie i osady nadawa- no.“ Możnali wierzyć, że Tadeusz Czacki chciał szczerze pojmować historyą swego narodu?

Uwagi ogólne nad literaturą w Galicyi.

(Ciąg dalszy.)

Najpierwszą więc myślą było pisać komedye. Lecz ponieważ takowe nie dawały się wytrząsać z rękawa, bo oprócz talentu potrzeba było i poprzedniczego usposobienia, rzucił się zatém do czytania jak najwięcéj francuzkich i niemieckich komedyj i powieści wesołych różnego rodzaju. Ślady takiéj nauki spostrzegamy wyciśnięte na wszystkich jego utworach, bo oczywiście, połykając na raz wzorów tak wiele, nie trawił je, tylko całkowicie oddawał. Nie masz jednéj jego komedyi, któréjby albo osnowa, albo jakoweś zdarzenie, lub scena cała, lub szczególne miejsce, nie były wzięte żywcem z kąd inąd; a znajdują się i takie, które i co do treści, i co do układu szczerém są tylko tłumaczeniem, n. p.: Mąż i żona. Ogniwem tylu różnorodnych promieni było wychowanie jego pierwotne, przemogły estetyczne wyobrażenia francuzkie; według nich tedy starał się nadawać sztukom swoim zwierzchnią ogładę. Widzimy strzeżone prawidła, Arystotelesowemi nazwane; wiersz trzynastozgłoskowy jest jeszcze koniecznością, w ogólności zaś więcéj opowiadań niżeli działania. Na tém kończy się pierwszy okres dramatyczny Fredry zawodu. Walka nie zrozumianéj klasyczności z niepojętą romantycznością, właściwie zaś wolności moralnéj z moralnym despotyzmem zastała go jeszcze nad Aleksandrynem. Reforma, na jaką się w pismiennictwie naszém zanosiło, była dla niego nie przewidzianém zdarzeniem. Nie krytyk i nie estetyk, nie obznajmiony z dziejami obcych pismiennictw, nie wnikający głęboko w naturę ducha i źródliska jego objawień; nie miał nitki Aryadny, ażeby się z tego labiryntu wydobyć: nie wiedział, na którą stronę się przechylić, a żadnéjby był nie pomógł; oczekiwał zatém cierpliwie, która przeważy. Niebawem roztrzygnęło się zwycięztwo, a i

talent Fredry począł w swobodniejszéj pojawiać się postaci. Odtąd postrzegamy w komedyach jego nie tylko wiersze krótsze, ale zamiast dawnéj powagi więcéj lekkości i ruchu, więcéj życia i polotu poetycznego, na jakim w pierwszym okresie zbywało mu zupełnie. Do téj doby odnieść należy Magnetyzm serca i Dożywocie, szczególniéj zaś Kamień pod Łyskiem, powieść bez żadnéj wartości. Że zaś pomimo najlepszych chęci nie łatwo jest uwolnić się od zasad, którym się raz hołdowało, przeto i w tych jego utworach przebija się charakter dwoisty; stanęły one na granicy nowego świata, do którego się duch jego jeszcze nie dostał; nie było przepustki. Wtém znowu napotykają go jako wynikłości dotychczasowych sposobów, sporów, marzenia o narodowém umnictwie i poezyi. Trudny to orzech był do zgryzienia nawet dla bieglejszych sędziów, bo patryotyzm mieszał się do gry pozornie. Michał Grabowski okrzyczany za wielkiego znawcę, bredził bez miary. Z tych trudności wywinął się Fredro, jak na prawowiernego męża przystało; ślepo uwierzył. Zyskała na tém literatura, jeżeli téj wierze winna jest Jowialskiego i Zemstę. Warte są osobnego rozbioru śmieszne w sztuce, a szkodliwe w życiu politycznem zasady owych narodowych radykalistów literackich, którzy wolą raczéj przypuścić poezyą żytomirską, płocką, lwowską i t. d., niżeli zgodzić się z psychologami, że dusza ludzka u wszystkich narodów jednakowa jest siłą ogólną, jednakowe ma przymioty i zdolności: a zmysły i ciało, które działania jéj modyfikują, jednakowym wszędzie są środkiem, jednemu prawu natury uległym; że zatém nie masz innéj poezyi, jak indywidualna, lub naśladownicza. Miało to stronnictwo oddzielne ognisko w Lwowie, utrzymujące, że utwór umniczy nie może być pięknym i dobrym, jeżeli przedmiot nie jest ojczysty i nie oddany starymi słowesy. Przy Fredrze nawiasowo tylko o tém wspominam i chciałbym wiedzieć, czy więcéj narodowy jest Jowialski, w którym całe ustępy, za bardzo narodowe uważane, są w „Chevalier à Pios Du Bas Poiton, vous saurer qu'un baron" i t. d.; czy lepiéj Narodowa Zemsta, w któréj przodkowie nasi są wystawieni? czy lepiéj Narodowa Cudzoziemczyzna, która wyśmiewa teraźniejsze nasze zepsucie? Zemsta jest obrazem o tyle pięknym, o ile barwy na niego dobrane, a zatém chybionym we wszystkich scenach, w których wchodzi Papkin, zawsze zaś tylko gipsowym odciskiem z twarzy nieboszczyka. Cudzoziemczyzna jest wzorowana z robót francuzkich, ale chwyta obecne życie w jego czynnościach i skutkach; i mogłaby bardzo zbawiennie wpływać na wychowanie narodu, gdyby sam autór błyszcząc po salonach tym piżem, które na teatrze wyśmiewa, nie zapierał się niejako zasad, które wyznawał, jak gdyby tylko podchlebiając klassie liczniejszéj. Tak właśnie jak Zamecka, kiedy w teatrze skromność zaleca: „Jestem cnotliwa, jestem niewinna. Honor nad wszystko przekładam." A wszyscy wiedzą, że to jest stara wszetecznica nie dopiero ze Lwowa, ale jeszcze z Lublina i z Warszawy. Zaiste nie bardzo zbuduje złodziéj każący przeciwko kradzieży. Kiedy Oconel uznał, iż wyroby angielskie szkodzą przemysłowi irlandzkiemu, zaniechał ich i nie używał tylko płodów irlandzkich. Nauka taka była skuteczniejszą, jak najpiękniejsze prelekcye. Prac Fredry nie oceniono do tych czas sprawiedliwie. Pierwszy recenzent krakowski (Nowa epoka poezyi polskiéj) bajał o rzeczy, któréj nie rozumiał, a wyjechawszy z mylnego założenia, do mylnych zajechał wniosków; drugi także krakowski odpowiadając pierwszemu w Kwartalniku, zbył swój przedmiot płytko i dowiódł, że nie myśli sam za siebie. Wyrwał się krytyk i we Lwowie (z Oleska), który o komedyi „Poeta i odludki," nie stworzone rzeczy nabajał. Inne głosy odzywające się w tym przedmiocie od czasu do czasu w Rozmaitościach lwowskich, sąto kadzidła pieczeniarzy, dymy kuchenne wietrzących i gotowych każdemu zalada obiad dać nieśmiertelność. Dożył nareszcie Fredro i tego wstydu, że go Ludwik Zieliński chwali w Lwowianinie; na to prawdziwie nie zasługuje, chociażby miał w trójnasób więcéj uchybień i niedostatków. To, co powiedziałem dotychczas, jest tylko znamionowaniem ogólném, lecz może posłużyć z czasem za posadę, jeżeli mi czas i okoliczności dozwolą zabrać się do obszerniejszego rozbioru, a materyały nadejdą, na które czekam oddawna. Pisał też Fredro i ulotne poezyjki i powiastkę prozą: *Nieszczęścia najszczęśliwszego męża*; wszystko to bardzo jest liche. Oprócz Fredry doświadczali się jeszcze w utworach dramatycznych: Jan Nepomucen Kamiński, Walenty Górski, Felix Rożnański, Thulie i Ignacy Karsznicki, wszyscy bez talentu. O Kamińskim *) jednak nie godzi się zamilczeć, jako o tłumaczu i posiadającym kredyt u wielu, bo umie zręcznie podchodzić publiczność galicyjską, nie zbyt krytycznie usposobioną. Cała jego działalność jak dra-

*) Redakcya nie podziela w tym względzie szan. autora zdanie. P. Kamieńskiego druga część Krakowiaków i Górali jest tém w literaturze dramatycznéj polskiéj, czém Chopina Mazurki w muzyce polskiéj, czém muzyka do nich Kurpińskiego między naszemi operami narodowemi. *Red. Tyg. lit.*

matycznego pisarza da się w dwóch słowach wyrazić: tłumaczył i naśladował. Pomiędzy licznemi tłumaczeniami najpierwsze miejsce trzymają: Lekarz swojego honoru z Kalderona i Wallenstein z Szyllera. Ten jednak błąd jest w nich rażący, że mając jednego tłumacza, zdają się nie mieć tylko jednego autora. Wogólności o zdolnościach Kamińskiego powiedzieć można, iż zdaje się wyłącznie na tłumacza tylko stworzony. Wszystko, co przetłumaczył, ujdzie; przeciwnie wszystko, co niby oryginalnie napisał, kiepskie. Tłumacząc, musiał się trzymać myśli i uczuć, układu, smaku i obrazów pierwotworu. Kiedy zaś przychodziło, to wszystko z samego siebie wysnuwać, wtedy dopiero okazywał się brak wielki w jego umysłowéj śpiżarni. Do tłumaczeń służyły mu jeszcze nabyte usposobienia, łatwość w wierszowaniu i znajomość języka. Pod tym ostatnim względem jednakże dopuszcza się ciężkich grzechów bardzo często, przywłaszczając mowie polskiéj formy, zwroty, a nawet całe obrazy niewłaściwe, z naturą jéj niezgodne, niemieckie. To w wierszach. Proza zaś jego jest ze wszech miar niegodziwa; umyślnie nic gorszego złożyćby nie można. Twarda, chropowata, naciągnięta, pokurczona, nabrzmiała i nadęta, a wiatrem. Naśladowania jego są znowu dwojakiego rodzaju. Naśladował Bogusławskiego w Krakowiakach, naśladował Nestroja i farsy wiedeńskie w Twardowskim. O ile część pierwsza Krakowiaków i Gorali dobra jest względnie na czasy i okoliczności, w których powstała, o tyle lichsza jest część druga, gdyż będąc nie udolném małpiarstwem, i téj zewnętrznéj, przypadkowéj brakuje jéj zalety. Utwór ten nie zaleca się ani umnictwem w kompozycyi, ani dobraniem barw, ani pięknością i świeżością myśli, ani ciekawością położeń, ani poezyą, ani nawet gładkością wiersza. Cała rachuba była na zręczne omamienie publiczności, która poczciwa oklaskiwała i oklaskuje same słóweczka. Z resztą bilety bezpłatne także cicho nie siedzą, lecz klaszczą. Nie oszczędzał nawet pochwał pamiętnik galicyjski, który w téj prowincyi najpierwszy o romantyczności przebąkiwał, wydawany przez Ferdynanda Chotomskiego i Eugeniusza Brockiego, w roku 1821. Lecz cóż mówić tam o wyobrażeniach estetycznych, gdzie najprostsze prawdy historyczne fałszywie pojmowano, a jeden z szanownych wydawców, historyą Galicyi od Scytów azyatyckich poczyna, kiedy mało kto nie wie, że Galicya poczęła sią dopiero po rozbiorze Polski, nie od Scytów, lecz od Austryaków. Ktokolwiek przypatrywał się uważnie drugiéj części Krakowiaków i zauważał obroty autora w innych utworach, jak nie pominął żadnéj sposobności, ażeby opiewać cesarzów, ministrów i gubernatorów; to znowu ujmować gmin przez płaskie żarciki i tłuste koncepta, a szlachcie dogadzać, wspominając: ojczyzna i jedność! ten łatwo mógł postrzedz, jaki żywioł w duszy Kamińskiego był przeważającym i przepowiedzieć blisko narodziny Twardowskiego, takiego, jak widzimy. Kuglarstwo autorskie, rozrzucone po licznych utworach jak tułająca dziatwa, potrzebowało jakowegoś ogniska, w któremby się zbiegały wszystkie jego promienie, potrzebowało godnego ojca swojéj rodzinie — kuglarza. Twardowski Kamińskiego jest to głupi pijak, który zapisawszy duszę diabłu, płata za jego pomocą rozmaite figle dla swojéj rozrywki, a chwytając dziewczęta, zaczarowuje je i więzi w ogrodzie na Krzemionkach, jak gdyby jaki Frejdegaldus skandynawski, lub który z olbrzymów w niemieckim romansie rycerskim. Nie trzeba być na to filozofem, aby pomiarkować, że takie znamiona Twardowskiego nie są zgodne ani z charakterem narodu naszego, ani z historyą, ani z podaniami ludu. Twardowski był to uczony wieku swojego, za cóż go robić błaznem i lumpacym. Z resztą niewłaściwość charakterów i niestósowność barw, są może mniejszemi wadami tego nieurodka, ubóstwianego przez kelnerów, kucharki i bachory. Jeżeli brak działania wielkim jest błędem w utworze dramatycznym, to Twardowski przekonywuje, że zbytek działania jest jeszcze większym. Ustawicznie w nim tylko biegają, biją, przewracają koziołki, popijają, jedzą i t. p., mówią zaś mało i nic do rzeczy. Jest to pokurcz z twarzą mieszaną pantomimy i farsy. Niemasz w nim ani jednéj myśli godnéj uwagi, ani jednego pięknego obrazu. Wszystko jak najpospolitsze, jak najcodzienniejsze. Wyłączny talent tłumacza, daje się tu postrzegać w całéj swéj obszerności. Gdzie go gotowy pierwotwór nie zasila swojem bogactwem, wyczerpuje zapas pamięci z tego, co gdzieś widział, czytał, lub słyszał i ustaje; już mu się dzieje na nic nie przydały, nie umie korzystać z potrzeby widzów, zabrakowało twórczości i umniczéj siły; osoby muszą skakać i przepraszać się. Powiedział Voltaire, iż niemasz tak lichéj książki, w któréjby się nie znalazła okruszyna czegoś dobrego; ale co w 18tym wieku mogło być prawdą, w 19tym już nią nie jest. Niech no by przeczytał utwory Ludwika Zielińskiego, Twardowskiego Kamińskiego, obaczylibyśmy, czyby się nie zaparł. Pocieszny jakiś krytyk w Bibliotece Warszawskiéj, porównywając powieść Kraszewskiego: Mistrz Twardowski, z farsą Kamińskiego, przyznaje ostatniéj pierwszeństwo. Stronniczość jest tu widoczna i aż śmieszna. Że Kraszewski w ogólności obfitym,

ale rozumowo słabym jest pisarzem, rzecz pewna, ale porównanie z Kamińskim każdą razą wytrzyma. Kamiński nic oryginalnego nie napisał i nie napisze. Czegóż ma się jeszcze po nim spodziewać Galicya, kiedy cała duchowa istność jego wyczerpana urzeczywiściła się w Twardowskim? Można pozwolić sobie wniosków na przyszłość, *gdyż* nie przeistacza się duch ludzki i nie łatwo zmienia kierunek, w który go kilka dziesiątków lat wprawiło. Kamiński odtąd będzie tłumaczył, albo krążył koło swojego Twardowskiego, jak koło słońca, coby się najłatwiéj ziściło, gdyby go podziwiał i pisał pochwały dzieł własnych. Ktoby zaś czego innego wyzierał, umrze z nadzieją, jak grzeszni Izraelici, którzy nie oglądali ziemi obiecanéj. Zaiste, trudnoby było odpowiedzieć, czy w innych okolicznościach Kamiński użyłby zdolności swoich z większą dla nauk korzyścią. To jednak pewno, że środki, jakich używał do wyłudzenia pochwał, a uniknienia krytyki, były jedną z głównych przyczyn zboczenia jego talentu. Kamiński nie lubił słuchać słów prawdy, nie umiał ich oceniać i korzystać z nich. Teraz już zapóżno, chociażby i posłuchał. Poił uszy swoje pochlebstwem, lub wykpionemi pochwałami, chciał więc co prędzéj przytknąć do swych klassycznych powag tych, których płody miano za dobre dla zacności imienia autora. Chwalono je, nie czytając nawet. Tymczasem zaskoczyła go romantyczność bardzo nie na rękę. Pochwalał zatém Mickiewicza z protektorską godnością; utrzymywał, że ujdzie, lecz, że nie przewiercał jeszcze filozofii, (słowa własne). Na dowód wydał, współubiegając się z Mickiewiczem, swoje Sonety. Był to początek waryacyj. Jeżeliby komu za ciemném było to wszystko, co powiedziałem o usilności rządu w Galicyi, tworzenia głupców uczonych, niech tylko weźmie filozoficzne Sonety Kamińskiego do ręki, a pewno mu się rozwidni. Przekonają one niezbicie, że Kamiński nie ma ani poetycznego umysłu, ani estetycznego pojęcia, ani uczucia piękności, ani ogładzonego smaku; co gorsza, że dostał pomieszania, jak jaki żak w téj właśnie chwili, kiedy Napadziewicz wymawiał: „Ideale, reale et copula utriusque?“ Odtąd dzielny duch jego upiwszy się duszą kałamarza, zawsze po jednéj bryka ujeżdżalni i o punkcie widzi trzy punkta (słowa własne). O majaku! Pomimo tego wszystkiego, ponieważ w Galicyi nikt nie jest tym, na coby przez zdolność swoje zasługiwał, ale tym tylko, czym go rząd mieć pragnie, Kamiński jest nienaruszoną powagą we Lwowie. Zetrzeć cokolwiek skorupy zarozumiałości, która go ochrania przed naciskiem jak żółwia, jest niepodobieństwem. Cenzor czuwa nad tém, aby go nikt nie ganił i błędów jego nie wytykał. Pisał on i wydawał różnemi czasy rozmaite wiersze, drobniejsze, chociaż nie tak niedorzeczne, jak sonety, jednakowoż torby sieczki nie warte, bo ni tam poezyi, ni pięknych myśli, ni zdań rozsądnych, a słów i rymów jest z korzec. W odurzającym dymie sławy swojéj literackiéj począł się kasać na wielkiego filozofa, zamykać po całych tygodniach w oddzielnym pokoju, brać duszę w stępy jak rzepak na oléj, i wydusił z niéj banalukę o filozoficzności języka. Opowiada to żona z próżnością, godną wielkiego stadła, gdyż odtąd poczyna się znaczna reforma wielkości jéj męża. Oto przewiercił wtedy filozofią. Miało jednak to zamykanie i rzeczywiste dla obojga małżeństwa korzyści, gdyż go dłużnicy znaleść nie mogli. Oczywista, iż przy takiém zawiadowywaniu dochody teatralne szły marnie, wzmagał się nieporządek i niedostatek, a nie przybywało tylko lelum polelum, nux, orzech, jądro, głowa i t. d. Nie przestawając na tém niefilozoficzni aktorowie poczęli więc prościéj myśleć o sobie; oderwali się od przemądrego naczelnika, sprowadzili nowy porządek, pobierali sami dochody i wspólnie nimi rządzili. To tylko ochroniło teatr od upadku, do którego wtedy się pochylił.

(*Koniec nastąpi.*)



Przy końcu drugiego półrocza tomu piątego Tygodnika literackiego uprasza się Szanownych Prenumeratorów o wczesne złożenie przedpłaty, wynoszącéj zł. pol. 12., na król. pocztamtach lub księgarniach, na pierwsze półrocze tomu *szóstego*; w przeciwnym bowiem razie nie naszą byłoby winą, gdyby przerwy w nadsyłaniu numerów doznali.

Redakcya Tyg. lit.

Redaktor: *A. Woykowski*. Czcionkami *E. Günthera* w Lesznie.